

Antoni Walas

Katolickie Gimnazjum
im. św. Jadwigi Królowej
ul. Św. Jadwigi Królowej 5
27-600 Sandomierz

tel. 15 832 78 09

e-mail: kliceum@internetdsl.pl

antekwalas@gmail.com

Góry Pieprzowe i Smok Indiada

Polska. Początek renesansu. Pozostałości po mrocznym okresie ciemnoty średniowiecza ciągle istniały na świecie. Po lasach ciągle biegały bandy barbarzyńców a w górach dalej żyły smoki. Czekwały one w magicznym śnie. Czekwały na dogodną chwilę do obudzenia się a każdemu budzącemu się smokowi towarzyszyły chaos i śmierć.

Jeden z pozostałych na świecie smoków żył w górach niedaleko ziemi świętokrzyskiej. Jednak nie wiedział o tym prawie nikt. Nawet ludzie żyjący w miasteczku obok. W miasteczku Sandomierzu. Jedynymi ludźmi wiedzącymi o smoku żyjącym w górze byli czarodzieje i czarodziejki. Znienawidzeni przez społeczeństwo za swój dar władania magią. Broniący bezbronnych potajemnie. Jednak nie mogli pozbyć się smoka samodzielnie, gdyż przeznaczenie wybrało kogoś innego do tego zadania. Kogoś, komu zamiast miecza wybrano pióro na przyszłość.

W Sandomierzu, małym miasteczku bez przyszłości mieszkał niezbyt biedny, niezbyt bogaty karczmarz - Bogumił. Jego starszy syn Jan osiągnął właśnie wiek 20 lat. Wiek uważany za początek dorosłego życia. Bogumił postanowił posłać go do szkoły, której sam nigdy nie miał szansy ukończyć. Pieniądze na ten cel zbierał całe życie, chwytając się każdej roboty, jaką mógł zdobyć. Dopiero teraz, na starość uzyskał mały lokal, w którym otworzył karczmę. Dzięki temu jego syn miał szansę na lepsze życie, ukończenie szkoły w wielkim mieście jak Kraków bądź Gniezno.

Jan wracał właśnie późnym popołudniem do domu, kiedy spotkał przyjaciela ojca - Stanisława.

– Witaj, Janie, nie wiedziałem, że wyjeżdżasz, chciałem ci tylko życzyć spokojnej podróży.

Jan zaskoczony odparł z uśmiechem:

– Panie Stanisławie, gdzie ja wyjeżdżam? Czyżbym miał jakieś plany, o których sam sobie nie powiedziałem?

- Czy ojciec ci nie powiedział? Nieważne, Janie, zapomnij, że coś ci mówiłem a gdyby ojciec pytał, skąd wiesz, to nie widzieliśmy się dzisiaj, żegnaj - odparł zmieszany Stanisław, po czym szybko odszedł w przeciwną stronę.

Jan, którego ciągle nie opuszczało zaskoczenie, przyśpieszył kroku, kierując się w stronę swojego domu. Liczył, że ojciec wszystko mu dokładnie wytłumaczy.

Zaświecone świece, matka siedząca przy naczyniach w kuchni, młodsza siostra bawiąca się z psem i zamyślony ojciec siedzący w fotelu przy kominku. Tak zastał swój dom Jan, który zaraz po wejściu i przywitaniu się z matką udał się do zamyślnego ojca który wpatrzony w kominek nawet nie odwrócił się w jego stronę.

– Jak minął dzień, ojcze? Dużo dzisiaj ludzi było w karczmie? - spytał Jan z uśmiechem, który nigdy nie opuszczał jego twarzy.

– Kraków czy Gniezno? - odparł Bogumił, nie patrząc na syna.

– Nie rozumiem, ojcze.

- Kraków czy Gniezno? - powtórzył ojciec, dalej nie patrząc na syna. – Wolisz uczyć się w Krakowie czy w Gnieźnie? - w końcu twarz karczmarza obróciła się w stronę syna.

- Czyli to o szkołę chodzi, to jest ten mój wyjazd! - Jan już był pewny tego, co wiedział.

- Już wiesz? - powiedział ojciec.

- Wiem. Powiedział mi Stanisław, którego spotkałem po drodze - odrzekł lekko niepewnie Jan.

- Ten stary dziadyga nigdy nie umiał dochować niespodzianek! Chodź, synu, na górę, mam dla ciebie parę rzeczy - rzekł Bogumił, z trudem wstając z fotela i kierując się w stronę schodów.

Przy akompaniamencie skrzypienia schodów, szczekania psa i odkładanych na bok umytych naczyń weszli na piętro i skierowali się w stronę głównej sypialni, w której spał Bogumił z żoną.

– Usiądź, synu - powiedział Bogumił, po czym podszedł do skrzyni i wyciągnął z niej trzy pakunki. Kiedy je otworzył, pierwszym okazała się książka do nauki łaciny z pozłacanym drukiem. Drugą rzeczą były szkolne przybory; pióra, zeszyty, atramenty. Ostatnim pakunkiem były pieniądze. Lecz nie parę złotych monet. Za te pieniądze Bogumił mógłby kupić sobie drugą taką, a może nawet większą karczmę. Jan dobrze o tym wiedział. Jego język stał się ciężki jak kamień a usta zapomniały, jak układa się zdania. Jego ojciec, widząc zmieszanie i zaskoczenie syna, zaczął temat.

– Może teraz mi powiesz, Janie. Chcesz się uczyć w Krakowie czy w Gnieźnie?

- W Krakowie - odrzekł Jan, po czym spojrzał na ojca wielkimi oczyma, które ciągle nie mogły uwierzyć w to, co widzą.

– Nie patrz tak na mnie, synu. Całe życie zbierałem pieniądze, by moje dzieci mogły wyjechać z tej miejsciny i żyć lepszym życiem. To jest twoja część spadku i początek życia osoby wykształconej. Zaczynij się pakować, jutro wyjeżdżasz. No już! Szybko, bo matka zaraz gasi świece i idziemy spać.

Jan dalej nie mógł uwierzyć w to, co powiedział mu ojciec, gdyż nigdy nie rozmawiał z nim na temat spadku ani jego celów w życiu. Poszedł do swojego pokoju i zaczął się pakować. Godzinę później w domu zgasły świece i Jan spędził ostatnią noc w swoim rodzinnym domu.

Rankiem spakowany już Jan czekał z Bogumiłem na karawanę, która prowadziła podróżnych do Krakowa. Czekali w milczeniu aż do czasu przyjazdu karawany. Dopiero przy rozkazie dołączenia do reszty podróżnych Bogumił rzekł do syna:

– Powodzenia, synu, żyj tak jak ja nigdy nie mogłem - po czym pocałował syna w czoło. Jan pewnie wstąpił do karawany, dostał własnego konia i ruszył z resztą podróżnych.

Karczmarz stał i machał synowi, dopóki tamten nie zniknął mu z pola widzenia. Po czym wrócił do domu, rozsiadł się w fotelu i zasnął.

Podróż Jana obyla się bez specjalnych wydarzeń. Dotarli po tygodniu do Krakowa - stolicy polskiej nauki. Miasto od razu przytłoczyło go swoją wielkością, ilością ludzi, kupców, rzemieślników, studentów. Po raz pierwszy w życiu zobaczył także kurtyzany stojące i prezentujące się przed budynkiem obleganym przez miejscową straż. Przeciętny głupiec z głębokiej wsi od razu zobaczyłby korupcję zjadającą to piękne miasto od środka. Księża chodzący w złotych łańcuchach wartych całe wsie. Strażnicy znęcający się nad biedną częścią miasta. Złodzieje. Moźni bez szacunku. Rzemieślnicy trzymający za pazuchą sztylety. Kraków mimo tętniącej życiem uczącej się warstwy społeczeństwa zwanej studentami był bardzo niebezpiecznym miastem czekającym na kogoś z dobrym sercem i intencjami. Tacy ludzie podobno szybko tutaj znikali, bezpowrotnie.

Młody, początkujący student udał się na rynek główny, żeby stamtąd znaleźć drogę na uczelnię. Po drodze kupił parę owoców i kolejne pióro do kolekcji od ojca. Drogę podpowiedział mu strażnik pilnujący domu jakiegoś możnego pana. Droga była prosta, trzy przecznice. Problem był za to poważny, były to najbiedniejsze i najniebezpieczniejsze przecznice Krakowa. Z opowieści strażnika Jan wywnioskował, że raczej nikt tamtędy nie chodzi, chyba że ma coś do ukrycia. Nie było szans na pójście naokoło. Czasu było mało a spóźnienia nie były mile widziane na uczelni. Zatem plan Jana też był prosty, iść i się nie zatrzymywać pod żadnym pozorem. Kiedy stanął więc przed wejściem do krętej i wąskiej uliczki, wziął głęboki oddech i ruszył.

Szedł, nie patrząc na boki, ani nie oglądając się za siebie. Po drodze widział leżącego bez ruchu człowieka z raną w boku, najpewniej martwego. Widział dwóch wysokich i krępych mężczyzn, którzy rozliczali się z jakiegoś zlecenia, jeden dawał drugiemu pieniądze, po czym pierwszy wyciągnął odciętą rękę i wręczył zleceniodawcy z uśmiechem na twarzy. Kiedy młody student zobaczył koniec uliczki, odetchnął z ulgą. Już miał wychodzić, kiedy zobaczył małą dziewczynkę leżącą pod ścianą. Łzy jej leciały gęstym strumieniem na bruk. Jan, który należał do grupy osób wrażliwych i bardzo pomocnych, zatrzymał się przy małej. Zobaczył siniaki, wystające kości spod podartych ubrań i brudną twarzyczkę, po której spływały łzy. Kucnął przy niej, podniósł ją, otarł łzy i przytulił. Widział, że mała była gotowa do ucieczki w każdym momencie. „Musiała mieć trudne życie” pomyślał.

– Witaj, słoneczko, jak masz imię? Ja nazywam się Jan, spokojnie, jestem niegroźny, jestem jak kot domowy, chętniej się przytulam niż drapię - rzekł Jan spokojnym tonem i ze szczerym uśmiechem.

Jan nie był potężnie zbudowany ani nie miał zarostu. Średniego wzrostu, chudy, ładny. Tak widzieli go inni ludzie. Poza tym zielone oczy, ładny kształtny nos, nieodstające uszy i nie duże, nie małe usta usadowione były na chudej dziecinnej twarzy. Dolną wargę Jan miał lekko większą niż górną. To była jego jedyna wada wyglądu. Na twarz opadały średniej długości włosy koloru spalonej słomy. Jan, krótko mówiąc, wyglądał na kogoś, komu można zaufać bez wahania

– Mam na imię Elżbieta, panie - wyszlochała dziewczynka.

– Nie mów do mnie „panie”. Jestem Jan. Nie mam szlacheckich korzeni. A teraz chodź. Wezmę cię gdzieś w bezpieczne miejsce - odpowiedział Jan, po czym wziął dziewczynkę za rękę i poszedł w stronę uczelni. Miał zamiar przenocować dziewczynkę u

siebie w pokoju na uczelni, dopóki nie dowie się, skąd pochodzi dziewczynka. Wiedział, że jeśli go przyłapią, grozi mu kara pracy rocznej na rzecz szkoły a możliwe, że nawet wyrzucenie z uczelni. Mimo to pewnie prowadził Elżbietę przez ostatnie metry dzielące ich od budynku, w którym miał spędzić najbliższe lata na nauce.

Zaraz po wejściu do hali głównej skierował się do swojego pokoju. Znał miejsce, w którym znajdował się jego pokój z listu. Wiedział także o kluczu, który miał być zostawiony w drzwiach. Przeszedł, nie spotykając żadnego z profesorów. Za to każdy mijany student przyglądał mu się z zaciekawieniem. Kiedy wprowadził do pokoju dziewczynkę, zamknął drzwi i usiadł na łóżku. Poprosił, żeby mała do niego podeszła, po czym powiedział do niej:

– Nie mam prawa cię tutaj nocować, ale spędzisz tutaj najbliższe noce, dopóki nie dowiem się, skąd jesteś i kim są twoi rodzice, po czym cię do nich zaprowadzę. Nie wiem, czy jesteście bogatą czy biedną rodziną, ale ty wyglądasz, jakbyście nie mieli zbyt wiele pieniędzy. Dlatego chcę pomóc.

Przy ostatnim zdaniu wyciągnął pieniądze od ojca i położył obok dziewczynki.

– Teraz ty tutaj siedź a ja pójdę po coś do jedzenia dla ciebie.

Wyszedł i skierował się w stronę kuchni. Strach przed wyrzuceniem z uczelni ciągle go prześladował. Jednak nie dawał po sobie niczego poznać i z kamienną twarzą wszedł do kuchni, wziął swoją porcję jedzenia i wyszedł. Kiedy wracał z jedzeniem, spotkał jednego z profesorów.

– Panie Janie, podobno widziano pana wprowadzającego jakąś dziewczynkę do naszej uczelni, wie pan, że jest to zabronione!

„Szlag, czyli to taka jest solidarność studentów” zaklął w myślach Jan.

– Nie wiem, o czym pan mówi, panie profesorze.

- Nie? Zatem nie powinien mieć pan nic przeciwko temu, żebym poszedł z panem do pokoju.

- Ależ oczywiście, profesorze - rzekł lekko niepewnie Jan.

Po dojściu do pokoju Jan stanął, wziął głęboki oddech i otworzył drzwi z zamkniętymi oczami. Kiedy je otworzył, w pokoju nie było nikogo, za to wcześniej zamknięte okno stało teraz otworem. „Uciekła, ratuje mi życie, ale co z nią teraz będzie? Nie poradzi sobie przecież sama w tak wielkim mieście. Może chociaż pieniądze jej się przydadzą...”

– No, panie Janie, widzę, że mówił pan prawdę. Teraz niech się pan szykuje, bo za pół godziny zaczynają się lekcje łaciny - rzekł znudzony profesor, który liczył, że jednak zastanie dziewczynkę w pokoju i będzie miał okazję dania nauczki łamiącemu zasady studentowi.

Jan, który po zadomowieniu się na uczelni skupił się na nauce, praktycznie zapomniał o dziewczynce. Pewnego dnia długi czas po zniknięciu małej Jan znalazł dziwne przedmioty w swoim pokoju. Czarny kamień z wyrytym znakiem lisa. Sztylet w kształcie pazura. Purpurową szatę i księgę. Najbardziej zaintrygowała go księga, która mimo sporej wielkości była lekka jak pióro. Kiedy próbował ją otworzyć, księga robiła się ciężka jak gład a zamek gorący jak ogień. Odłożył ją więc za biblioteczkę a resztę dziwnych przedmiotów schował pod łóżko żeby nikt ich nie znalazł. Wiedział, że wzięliby go za dziwaka, a może nawet za czarodzieja. Jakoś nie marzył o karze śmierci za uprawianie czarów, więc bardzo pilnował nowo zyskanych przedmiotów.

Ostatnie lata nauki minęły mu spokojnie. Bez żadnych dziwnych zdarzeń. Jednak ostatniego dnia nauki, kiedy po apelu i po wręczeniu pieczęci uczelni każdemu kończącemu naukę studentowi wrócił do pokoju, zastał pokój idealnie posprzątany, mimo że przed wyjściem na apel wszystkie rzeczy były wyrzucone na podłogę, żeby nie zapomniał niczego spakować. Najdziwniejsze w tym wszystkim były jednak przedmioty zyskane znikąd: kamień, sztylet i szata leżące na bagażu, którego Jan nie pakował. Także księga leżąca na łóżku. Co dziwniejsze, leżała otwarta. Jan podszedł i w myślach przeczytał tytuł rozdziału, na którym księga była otworzona: „Przeznaczenie i pierwsze tajniki arkanów magii.” Oczy Jana zapaliły się jasnymi ognikami. Jednocześnie poczuł zimno na całym ciele. Bał się, że mogą go przyłapać na uprawianiu magii. W najlepszym wypadku zostałby skazany na śmierć. Nie chciał nawet myśleć o najgorszej możliwej karze. Podobno ostatniego czarodzieja torturowali przez rok. Rozpoczynając tortury od kastracji a kończąc na nabiciu na pal. Jednak mimo strachu i niepewności wziął księgę do rąk i przeczytał pierwszy rozdział. Mówił on o przeznaczeniu. O tym, że nie każdy może zostać czarodziejem. Wąska linia ludzi z umiejętnościami magicznymi wybrana była na początku świata przez przeznaczenie. Magiczną istotę najpierw żyjącą w postaci lisa. Po pierwszej implozji magii i pojawieniu się pierwszych czarodziei zmieniła się w niematerialną postać. Nie można jej zobaczyć, dotknąć, usłyszeć. Za to ciągle czuwa nad losami każdego człowieka, pilnuje, żeby przeżył swoje życie, tak jak było mu to pisane. Jedynymi istotami żyjącymi poza przeznaczeniem były smoki. Zbyt potężne, żeby być kontrolowanymi. Przed początkiem rządów człowieka smoki żyły na całym świecie, kształtując świat tak, jak chciały. Smoki dzieliły się według żywiołów, jakie kontrolowały. Ogień, woda, ziemia, powietrze, a także starożytne: światło i mrok. Po latach walk pomiędzy ludźmi i smokami zostały się tylko dwa rodzaje tych mistycznych stworzeń. Ogień i woda. Smoki ognia chowały się w górach i zasypiały. Budziły się, tylko kiedy odzyskiwały pełną energię. Były wyjątkowo agresywne i żądne krwi. Jedyne, co może je zniszczyć, to magia. Żadnemu człowiekowi nie udało się jeszcze zabić smoka mieczem. Każda taka historia to bujda stworzona by zyskać sławę lub uchronić czarodzieja od niesnasek ze strony innych ludzi. Jan czytał jednocześnie zaciekawiony i przerażony wizją wielkich i potężnych istot, które mogły być pokonane jedynie przez magię która była zakazana. Jednak te myśli musiały poczekać. Jan wracał do Sandomierza a karawana miała przyjechać za parę minut.

Jan spędził całą drogę na myśleniu o smokach i czarodziejach a podczas postojów oddalał się od karawany i czytał księgę. Wiedział, co mu grozi, jeśli go ktoś złapie. Dlatego wybierał miejsca, w których nikt go nie szukał. Wspinał się na korony drzew lub kładł przy bardziej wystających korzeniach. Dojechali po tygodniu a Jan w tym czasie zdążył przeczytać całą historię magii i poznać wszystkie magiczne istoty, jakie stąpały po ziemi.

Kiedy dojechali do Sandomierza, Jan od razu skierował się w stronę rodzinnej karczmy i domu. Wyobrażał sobie dumną minę ojca i matki, kiedy wejdzie z pieczęcią uczelni. Dom widać już było na horyzoncie. Jednak im bardziej Jan zbliżał się do karczmy, tym mocniej odczuwał niepewność. Ten budynek wyglądał obco. Nie było w nim tego rodzinnego ciepła, które czuł, kiedy stąd wyjeżdżał. Kiedy stanął przed głównymi drzwiami, zastanowił się ostatni raz i wszedł do środka.

Wnętrze wyglądało tak samo. Kuchnia po lewej, naprzeciwko wejścia schody a po prawej salon. W salonie biblioteczka, łóżko dla gości, kominek i trzy fotele: dwa ze skóry niedźwiedziej, jeden z wilczej – ukochany fotel ojca. Kiedy wszedł dalej, do salonu, nie zauważył nikogo. Dopiero po chwili z góry zeszła jakaś dziewczyna. Rzuciła się Janowi w ramiona i dopiero wtedy ją rozpoznał. To była Adela, jego siostra. Dopiero teraz zauważył, ile czasu spędził na studiach. Kiedy wyjeżdżał, Adela była dziesięcioletnim dzieckiem. Dzisiaj ma dwadzieścia lat. Wygląda jak prawdziwa kobieta. Wysoka, chuda, proste barki, życie uśmiechnęło się do niej, dając jej prawdziwie kobiece kształty. Buźkę miała tak samo uśmiechniętą jak wtedy, kiedy Jan wyjeżdżał.

– Dekada, braciszku, dziesięć lat minęło. Nie uważasz, że to trochę długo? - zaczęła rozmowę Adela.

– Takie jest życie na uczelni, kochana siostrzyczko. Tam czas płynie wolniej. Gdzie mama i tata?

Adela nagle posmutniała.

– Mamy i taty nie ma z nami już od dwóch lat, braciszku, ale możesz mi wierzyć, odeszli spokojnie z uśmiechem na ustach dumni, że ich syn kończy uczelnię w Krakowie.

Kiedy Adela zobaczyła łzy w oczach brata, mocno go przytuliła.

- Wiem, że jesteś smutny, braciszku, ale na górze czeka na ciebie jakaś dziewczyna. Mówiła, że dzisiaj przyjedziesz i że musi z tobą porozmawiać. Nie wiem, o co chodzi, ale wydaje się bardzo poważna.

Mimo że Janowi także nie było nic wiadomo o żadnej dziewczynie, czuł, że od tego spotkania będzie zależała przyszłość dużej liczby osób.

Jan wszedł do pokoju ojca, gdzie miała na niego czekać owa dziewczyna. Ujrzał siedzącą na łóżku dziewczynę dość nietypowo ubraną. Biała koszula z dużym dekoltem, czarne spodnie i buty podróżnicze. Kiedy podszedł do niej bliżej, chcąc zapytać się o imię, dziewczyna wstała i go przytuliła.

– Przecież znasz moje imię, jestem Elżbieta. Dziewczynka, którą dziesięć lat temu uratowałeś. Wiem, że masz mnóstwo pytań i żadnej odpowiedzi, jednak nie mamy czasu na rozmowy. Rzeczy, które dostałeś cztery lata temu, masz je ciągle ze sobą?

- Mam - odpowiedział Jan.

– To dobrze. Ja ci je przyniosłam. Zostałeś, Janie, wybrany. Wybrany na jednego z nas. Wybrany, by uratować swoich przed wielkim zagrożeniem.

- Ale jakim zagrożeniem? Nie rozumiem.

- W pobliskich górach żyje smok. Przez ostatnie paręnaście wieków spał magicznym snem ale niedługo się obudzi, a ty jesteś tym, który go zabije.

- Ja? Przecież ja tylko przeczytałem księgę. Nie mam mocy magicznych. Znam tylko zaklęcia. Nie umiem z nich korzystać.

- Ale nauczysz się. Mamy mało czasu, Janie. Ja nie dam rady w tak krótkim czasie nauczyć cię arkanów magii, ale żyje w pobliżu istota, która może to zrobić.

- Istota? Nie człowiek? - spytał niepewnie Jan.

– Tak, Janie. Licz. Wy nazywacie go Kościejem. Jest to starożytny czarodziej, który poświęcił swoje życie w zamian za nieśmiertelność i znajomość wszystkich gałęzi magii. Nawet tych mrocznych, niedostępnych dla nas, normalnych czarodziei.

- Są inne gałęzie magii? Są inni czarodzieje?

- Kiedyś opowiem ci o tym, Janie, ale teraz musimy udać się do Un’Gara. Zna on zaklęcie, które da ci wiedzę potrzebną do pokonania Indiana.

- Indiana?

- Smoka, który jeśli nam się nie uda, zniszczy twoje miasteczko i zacznie terroryzować cały kraj.

- Więc lepiej się pośpieszmy, Elżbieto!

Un’Gar – starożytny licz mieszkał na pobliskim cmentarzu. Tak jak spodziewał się Jan, jego wygląd był przerażający. Był to szkielet ubrany w szatę mnicha podpierający się na wykrzywionym w dziwny kształt kosturze. Kiedy mówił, jego szczeka nie poruszała się, była cały czas otwarta.

– Elżbieto, czyli to jest wybraniec... Szybko, daj go tutaj. Została tylko jedna noc. Do tego czasu wybraniec musi być już na górze, czekając na Indiana. Inaczej nie uda się z nim później zmierzyć.

Jan nawet nie zadawał pytań. Dzięki przeczytaniu książki rozumiał, jak ważną rolę przydzieliło mu przeznaczenie. Wiedział, co musi zrobić a dzięki kościejowi miał się dowiedzieć, jak to zrobić.

– Usiądź tutaj, młodzieńcze, załóż swoją szatę a mi daj swój kamień i sztylet - rzekł licz.

Jan usiadł na pękniętym nagrobku, podał Un’Garowi potrzebne mu rzeczy i zamknął oczy, czekając na to, co miało się zaraz wydarzyć. Kościej podniósł wysoko rękę, w której trzymał sztylet i krzyknął sekwencję zaklęć:

– Ra’tha Ne’Tu Iotiona Media’ata’echo’ran dia’trien noda’ra!

Niebo zaszło czernią a w sztylet uderzył piorun. Razem z uderzeniem pioruna licz uderzył sztyletem w kamień, który pękł. Z kamienia wylała się w przestrzeń czarna i biała energia. Obie prawie od razu po zniszczeniu kamienia powędrowały w stronę Jana. Wniknęły w niego, po czym niebo wróciło do normy a pioruny przestały bić. Jan za to poczuł się jak nowo narodzony. Wszystkie zaklęcia, jakie poznał, każda runa, pieczęć czy tarcza ochronna były mu znane. Teraz jedyne, co mu pozostało, to stawić czoła Idianowi.

Doszedł na górę, kiedy księżyc znajdował się na samym szczycie nieba a noc nie pozwalała na podróż bez ognia pochodni. Usiadł na kolanach na samym szczycie i - jak nakazał mu przed wyjściem licz - czekał. Siedział jakiś czas w spokoju i ciszy, kiedy nagle poczuł ruch ziemi i usłyszał ryk. Część góry zaczęła pękać i z wnętrza powstałego krateru wyleciał ogromny i majestatyczny smok. Łuski miał czarne jak smoła a oczy pełne gniewu i żądzы krwi. Okrążył Jana i zamknął go w kole zrobionym ze swojego ciała. W takim momencie każdy człowiek albo próbowałby uciekać albo umarłby ze strachu. Jednak Jan spokojnie kreślił w powietrzu runę. Smok zaatakował w przeciągu paru sekund, dmuchając w stronę Jana chmurą ognia. W tym samym czasie lewa ręka Jana przecięła runę utworzoną w powietrzu i uderzyła w ziemię, tworząc magiczną barierę chroniącą Jana przed ogniem. Smok, widząc, że śmiać, z którym walczy, włada magią, przestał być tak pewny swojej potęgi. Wzbił się w przestworza i szykował do kolejnego ataku. Jan czekał na dogodny moment. Kiedy smok rzucił się w stronę czarodzieja, ten odliczył trzy sekundy i krzyknął tak głośno jak tylko mógł: „Rha’Dra’Mria’Groa!”, co znaczyło „Ogień, woda, powietrze i ziemia!”, jednocześnie kierując ręce w stronę smoka. Z rąk wystrzeliła Janowi połączona energia wszystkich czterech żywiołów. Pod naporem tak silnej magii smok zatrzymał się w

powietrzu. Jego skrzydła podziurawiły się a większość łusek odpadła, odsłaniając ciało. Smok pozbawiony skrzydeł zaczął spadać w przepaść, z której wyleciał. Jan już myślał, że walka jest skończona, kiedy smok, spadając, złapał go w swoje szpony. Jan, zanim spadł razem ze smokiem w przepaść, zdążył tylko szepnąć zaklęcie zamykające szczelinę. Dzięki temu smok nie zagrażał już nikomu zewnątrz. Spadli razem do wnętrza ziemi. Tak jak mówiło przeznaczenie, Jan uratował wszystkich przed zagrożeniem ze strony starożytnego stworzenia.

Tak kończy się historia młodzieńca, który uratował ludzi kosztem własnego życia. Podczas walki ogień smoka spalił większość kamieni na czarno, co kojarzyło się ludziom z pieprzem. Przez co poczęto nazywać te góry Górami Pieprzowymi. Podobno od czasu do czasu słychać dudnienie od strony Gór Pieprzowych. To Jan dalej walczący z Indiadem. Gdyż ich walka nie została jeszcze rozstrzygnięta przez przeznaczenie.